

Forumowe Roztocze 2017

W dzisiejszych czasach większość żeglarskich eventów zaczyna się (a czasem i kończy) od podróży drogą powietrzną. W naszym przypadku miało być podobnie ale, jak się okazało, nie do końca. Rejs zaczynał się od soboty 16 września więc większość załogi zaplanowała lot do Skavsta na ten dzień. Ponieważ jednak poprzednia załoga chciała wrócić do domu samolotem do Świdnika latającym w piątek, ja, o nieprzychylniejszej godzinie dotarłem tam w towarzystwie Moroszki w piątek. Bulaj ze Stansfort także a na dodatek Robert tym samolotem ze Świdnika, którym zbyszkowa załoga zamierzała do domu wrócić. Kapitan, nerwowo przestępował z nogi na nogę by na samolot zdążyć więc jacht został przejęty w stanie „w jakim jest”.

Nykoping (czyt – Nyszoping) o tej porze jest raczej wyludnione. Zjedliśmy lanczyk w nadbrzeżnej knajpce, wykąpali w marinowej łaźnicy (niestety – sauny nie udało się nam uruchomić) , wypili po kusztyczku i spać. Tymczasem okazało się, że Ryanair odwołał sobotni lot z Warszawy i reszta załogi znalazła się na biczu. Na szczęście Katrina wyszukała wypływający w sobotę wieczorem do Nynashamn prom więc po nerwowej wymianie smsów całe towarzystwo się na tym promie spotkało, dokonując przy okazji dodatkowych zakupów, korzystając ze zniesienia ograniczeń bagażowych.

Zdecydowaliśmy, że zamiast beczynnie czekać na resztę załogi możemy im popłynąć na spotkanie do Nynashamn zatem w sobotę rano uzupełniliśmy wodę i ruszyli na północ. Wyjście z Nykoping jest malownicze, co znaczy kręte między wysepkami i płyciznami ale dobrze oznakowane. Dopiero o 0910 stawiamy grota a o 1200 resztę żagli i odstawiamy silnik. Łagodna żegluga nie nastrecza szczególnych trudności i po 1610 odpalamy silnik i kolejno sprzątamy żagle. Do Nynashamn wchodzimy już po ciemku i cumujemy o 1930. Na logu pierwsze 40 mil.

Nynashamn jest ruchliwym portem promowym a marina ma go w zasięgu wzroku. W niedzielę koło południa dociera do nas reszta załogi, cokolwiek sfatygowana nocnym wiosłowaniem na promie. Zadomowienie się na jachcie, uzupełniające zakupy i mała powitalna fiesta to czynności tego dnia. Rankiem jeszcze przestawienie się do stacji paliwowej i małe czary z obsługa terminala bo stacja jest samoobsługowa. Wreszcie o 0930 wszystko gotowe i ruszamy w stronę Mariehamn. Wiatr z północy powoli się rozdmuchuje więc mały kliwer i dwa refy na grocie. Fala rośnie i część załogi zaczyna składać pokłony Neptunowi, niektórzy dość histerycznie dopytują się o promy odchodzące z Mariehamn. Rankiem wiatr słabnie i przed nami pojawiają się pierwsze szkiery Alandów. Kasia za sterem i na jej widok dwa wychodzące promy rozpierzchają się na dwie strony. To taka moja drobna złośliwość, bo naprawdę jeden płynie do Sztokholmu a drugi do Tallina. Podejście wydaje się znacznie łatwiejsze niż mam w pamięci sprzed lat na Orionie. Ostatecznie o 1500 docieramy do mariny Westhamn. Cumujemy longside po nawietrznej wolnego pirsu co pozwala by jacht sam się zacumował. Na logu kolejne 127 mil.

Leniwy spacer po mieście połączony z prowiantowymi zakupami z wielkim blokiem żeberek na czele. Serniczek z kawą w zabawnej kawiarence urządzonej w parterze mieszkalnego domku. Pommern jest w remoncie więc nie można go zwiedzać ale muzeum Ericssona nazywa się teraz Muzeum Żegluga Morskiej i znajduje się w nowoczesnym budynku. Polecam. Wieczorem obowiązkowa sauna po której przestajemy odczuwać chłód. Następnego dnia o 1750 oddajemy cumy i żegnamy gościnną stolicę Alandów.

Wiatr odszedł na E – SE więc pasowałoby od razu pożeglować na południe ale vox populi domaga się Hanko więc pracowicie halsujemy pod wiatr tężący do 5-6B. Schodzi nam na to kolejny dzień i dopiero w piątek udaje nam się dotrzeć między poprzedzające Hanko szkiery. Sterowanie znowu przypada Kasi której widocznie strachy pierwszej nocy minęły bo pewną ręką wprowadza jacht do otoczonej skałami mariny. Żeglowanie po Bałtyku we wrześniu ma tą zaletę, że

mariny są pustawe i łatwo w nich zacumować. Tym razem także stajemy za radą obsługującego portowy promik marinero, po nawietrznej wolnej kei o 1330. Na logu 209 mil. Zakupy, wino w okołoportowej knajpcie i obowiązkowa sauna. Oczywiście jeszcze toast za cudowne ocalenie.

Wymyśliłem sobie inteligentnie, żeby zatokę Fińską trawersować po ciemku, kiedy z daleka widać światła statków i do cieśniny między Hiumą i Saaremą a lądem wpłynąć o brzasku. Zatankowaliśmy jeszcze paliwo (kolejna samoobsługowa stacja. W Polsce nie mogły by być takie?) i o 1830 oddajemy cumy. Znajomym szlakiem na morze i przy rzeźwym wietrze ze wschodu ruszamy pod kliwerkiem na południe. Wyraźnie przeceniłem siłę wiatru bo świt zastaje nas jeszcze daleko od Muhu Vain. W cieśninie wiatr odchodzi na SE więc trzeba się motorkiem podeprzeć. Na zatokę Ryską wychodzimy dopiero późnym popołudniem. Wiatr znowu odchodzi na wschód więc stawiamy blistra i spokojnie suniemy w kierunku Rygi. W poniedziałek rano docieramy do ujścia rzeki. Marina Andrejosta jest pustawa i bez trudu znajdujemy miejsce przy kei, longside po jej nawietrznej stronie. Tym razem za sterem stoi niezawodna Moroszka. Cumy o 1026 a na logu kolejne 125 mil. Wizyta w pierogarni na starym mieście, cokolwiek przereklamowanej. Ciasne prysznicze przy portowej restauracji

Postanowiłem jeszcze odwiedzić Lepaję i tam uzupełnić paliwo. Wychodzimy we wtorek rano. Na rzece podpieramy się kliwrem, bo wiatr nadal ze wschodu. Po wyjściu na zatokę zmieniamy go na blistra. Na dodatek grot i bezan pozwalają na spokojną żeglugę po gładkiej wodzie. Do latarni Kolka docieramy już pełną nocą. Robi się tu ruchliwie ale nie musimy trzymać się głębokowodnej ruty a na płytkim nikt nas nie oprymuje. Rankiem wychodzimy na Bałtyk co pozwala się przeprosić z blistrem, którego podczas przechodzenia przez cieśniną zamieniliśmy na kliwra. Wiatr nadal 3-4 E. Szybkość nie powalająca i do Lepai wchodzimy o północy, W marinie nikt nie urzęduje a z toalet możemy korzystać w pobliskim hotelu. Rano tylko szybkie zakupy i w drogę – do końca rejsu już tylko doba. Niestety, nie możemy się dopytać, gdzie jest stacja paliwowa a w zbiorniku już tylko ca 30l.

Wiatr jest sprzyjający i ma pod wieczór tężeć więc decyduję się zaryzykować bez tankowania. Znowu blister w górę i wszystko zapowiada się doskonale. W radiu słychać wywołanie żaglowego jachtu. Proszę o powtórzenie współrzędnych. Szerokość się zgadza ale długość zdecydowanie z innej bajki. Odpowiadam więc, że to nie my. Po jakimś czasie za rufą pojawia się pomalowany na szaro katamaran. Zatrzymuje się w pewnej odległości i znowu wywołuje jacht żaglowy. To łotewski Coast guard. Tym razem nie ma wątpliwości, że chodzi o nas. Okazuje się, że chodzi o rutynową kontrolę kto, skąd, dokąd, ile osób. Po zakończeniu dziękują za współpracę i wracają.

W międzyczasie wiatr słabnie i wreszcie morze robi się gładkie jak oliwa. Lekka martwa fala kołysze jachtem i powoduje, że blister niebezpiecznie ociera się o wanty. Zwalamy go na pokład by czekał na lepsze czasy. Mijają godziny i zaczynam się obawiać czy zdążymy na czas do Gdańska. Moroszka wyciąga uchowaną butelkę Rigais Balsam by przebłagać Neptuna i wkrótce na horyzoncie woda ciemnieje. Jeszcze trochę i można podnieść blister a wieczorem zamienić go na kliwer. Wyglądamy na uratowanych.

Rano przed nami majaczy żagiel. Wszyscy się podniecają pościgiem. To niewielki , najwyżej dziesięciometrowy jacht więc studzę emocje. Rzeczywiście rośnie w oczach i wkrótce go wyprzedzamy. Po drodze parę fotek. W pobliżu Helu trałuje kilka kutrów, co zmusza do kilku zwrotów. Wreszcie wchodzimy na zatokę i pod wieczór wpływamy na Motławę. Dzwonię do mariny z którą wcześniej umawiałem się o zarezerwowanie miejsca. Tak, pamiętają o Roztoczu więc zapachniało Europą. Najpierw jednak trzeba uzupełnić paliwo. Omijam bojkę przestrzegającą przed mielizną i wolniutko, wolniutko stajemy na dnie. Trochę gimnastyki dla przemarzniętej załogi, która przebiegając z burty na burtę oswobadza jacht i pozwala się wycofać na głęboką wodę.

Nic to. Płyniemy na Szafarnię, korzystając z właśnie podniesionej kładki. Miła bosmanetka wybiega na pomost i kieruje nas w głąb mariny. Niestety – tutaj także za płytko. Powtarzamy gimnastyczne manewry i wycofujemy się na Sienną groblę o której wiem, że jest wystarczająco głęboko. Do zamknięcia kładki zostało 7 minut więc full ahead. Zdążyliśmy. Ostatecznie wyszło takie podsumowanie:

- Postój 139 godz.
- Żagle 131 godz
- Silnik 56 godz.
- Razem 187 godz.
- Log 854 mile morskie

Na kei czeka już na nas Jurmak a wkrótce pojawia się również Colonel, który specjalnie w tym celu urwał się z wesela. Miło spotkać przyjaciół. Marina na Siennej Grobli ma jedyny feler w postaci pojedynczego prysznicza zasilanego niewielkim bojlerem ale poza tym zapewnia ciszę i spokój. Na dodatek bosman oferuje się przywieźć nam na rano kanister z paliwem. Idziemy do miasta na kolację a wieczorkiem celebруем jeszcze zakończenie rejsu. Wyraźnie zbyt wcześnie poszedłem spać bo okazało się, że w nocy odbywały się w messie tańce. Zapewniono mnie, że nie na stole, który okazał się zbyt chybliwy. Załoga była pełna zapału i żeglarskiego doświadczenia. Na dodatek zapowiedziała, że w przyszłym sezonie znowu chcą Roztoczem pożeglować i to ze mną w roli skipera. Mam nadzieję, że się im nie odwidzi, bo ja także się cieszyłem z żeglowania z nimi.